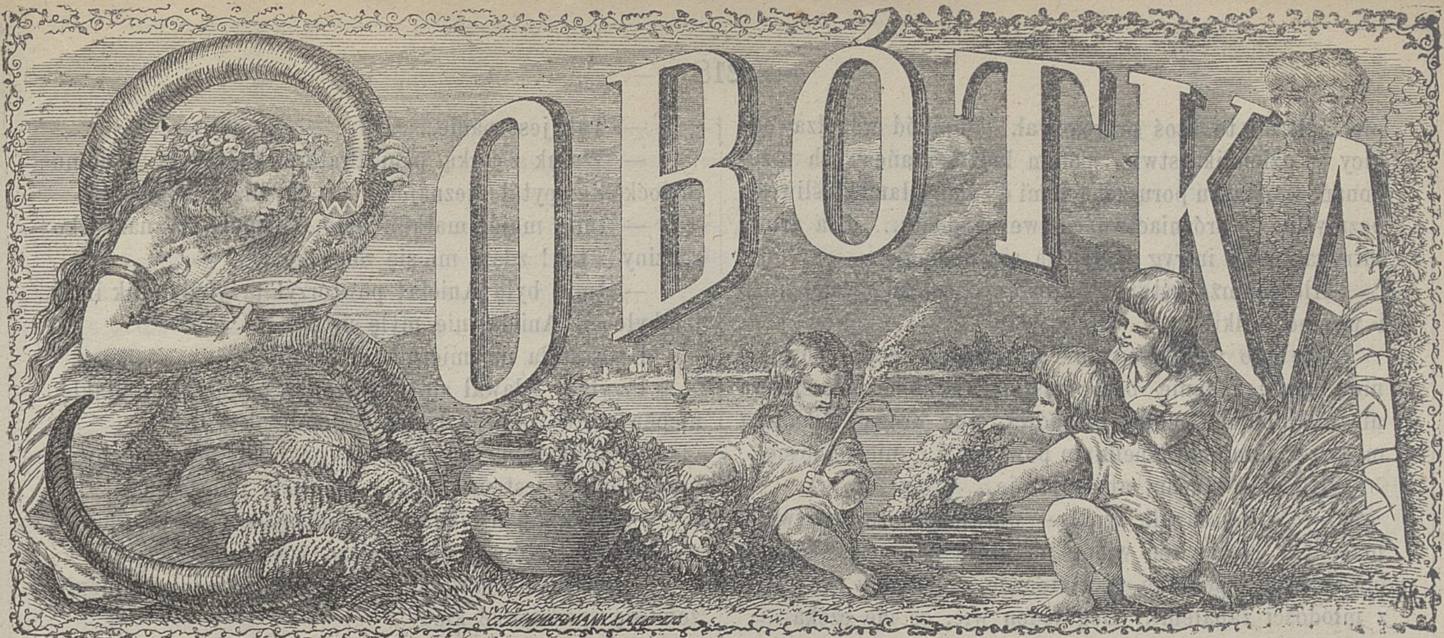


TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1 arkusz. Kwartalnie 15 sgr. w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

№ 27. **Poznań, dnia 3 Lipca 1869.** **Rok. I.**

Od Redakcyi.

Przy rozpoczynającym się kwartale trzecim upraszamy Szanownych abonentów SOBÓTKI o wczesne odnowienie przedpłaty na kwartał bieżący i życzliwe popieranie naszego pisma.

W MĘTNÉJ WODZIE.

Obrazki współczesne

przez **J. I. Kraszewskiego.**

(Dalszy ciąg.)

— Nie taję, rzekł, pozory, straszne pozory są przeciwko mnie — to prawda... ale mój ojcze, nim rzucisz anathema, wysłuchaj spowiedzi... Rzecz tak się ma.

Tu Sławek z największą szczerością, ale z przejęciem wielkiém, gorąco opowiedział milczącemu staruszkowi, przygodę swoją z Leną i bukiecikiem aster przed laty... a potém skromniéj już i nieco ją oszczędzając, ale nie kryjąc prawdy. — Spotkanie teraźniejsze po latach tylu, jéj wdzięczność... i swoje wymarzone z nią braterstwo...

Kanonik słuchał, nie przerywając.

— Na cienie mojéj świętéj matki, przysięgam wam, rzekł w końcu Sławek, iż dotąd w tym stósunku naszym, potępionym tak zuchwale przez ludzi, niema nic grzesznego, nic zdrożnego. Tylko nikczemni, zepsuci, co nie pojmują czystych uczuć... mogli mnie posądzić i osądzić — dodał Sławek... jestem niewinny... to jest uczciwa dziewczyna i byłbym podłym, gdybym z jéj wdzięczności i braterskiego przywiązania śmiał uczynić rozpustę!

Wymówił to z takim zapałem, z taką cechą prawdy, oburzeniem, iż kanonik, który go znał, ani na chwilę nie mógł powątpiewać, że mu powiedział całą prawdę.

— Wszystko to piękne i dobre do dziś dnia, odparł powoli starzec, ale, mój Sławku, i opinią szanować i pozornie zepsucia należy unikać. Nie dosyć jest być cnotliwym, nie trzeba stawić się w położeniu takiém, aby ludzi zmuszać do przypuszczania u nas bohaterstwa i świętości, wedle pospolitego prawa, zbyt bliskie, poufałe stósunki między młodym mężczyzną a młodą kobietą, narażają zawsze na posądzenia niepotrzebne... Tego unikać należy. Więcéj powiem, należy unikać napróżnych walk z pokusami, które sto razy zwyciężysz, ale wreszcie chwili szału i zapomnienia nie będziesz panem, upaść możesz i nieszczęście istoty biednéj sprowadzić...

Zapewnij jéj los, widuj ją w pewnych godzinach przyzwoitych, szanując zwyczaje, nie brawując sądów ludzkich... ale nie pochwalę ci tego, żeś takiego skandalu był przyczyną.

— Niewinną — rzekł Sławek.

— Zaręczasz, wierzę, odparł kanonik... ale wiesz że ty, czy młokos jaki, co cię widział z nią, a niema uczciwości i szlachetności, nie będzie cię naśladował... w najgorszy sposób?

— To prawda, zawołał Młyński, całując ręce księdza — w tém się poprawię...

— Ale nie zetrzesz złego wrażenia! rzekł wzdychając staruszek... boleję nad tém — bo to nie powetowana omyłka i grzech...

— Nie byłoby ani skandalu, ani plotek, przerwał Sławek powoli, gdyby nie ten dziennik... Porywając się nań, nie mógłem przeczuwać, że na osie gniazdo nastą-

pię, jak mi to ktoś prorokował. Naprzód współzawodnicy w dziennikarstwie, potém ludzie krańcowych przekonań, w ostatku poruszone temi dwoma siłami złośliwości bezmyślne... próżniactwo chciwe skandalu... cała armia intrygantów i intryg wysypała się na mnie...

Ale mamże ustąpić? stchórzyć, ulęknąć się groźb i wyrzec walki!

Nie! to wszystko mnie do niéj zechęca... powołanie łatwe, zadanie bez przeszkód i niebezpieczeństwa nie miałoby dla mnie powabów. Idę drogą wskazaną mi przez sumienie, spełniam powinność... nie cofnę się...

Kanonik słuchał ale smutnie...

— W téj chwili, rzekł — ważą się może losy twoje, przechyla szala, nie wiem na którą stronę... Mogłeś obrać życie spokojne a użyteczne, biegniesz na ogień z młodości zapałem... Bóg jeden wie, co cię czeka...

Ale dziecko moje! pomnij na świętą macierz, którą tak kochałeś, która cię tak kochała... nie zdradź ogniska, przy którém ogrzewała cię życie całe, tradycyi katolickich, polskich, naszych... Ludzie cię będą łudzić postępem kosmopolitycznym. Narody nie szczepią się jak jabłonie... naród każdy z łona swego prawdę swą wydać musi, pracą własną i boleścią.

Powiedziałem źle, jeden jest Bóg i prawda jedna i myśl jedna i dusza — ale ta prawda, jak się wyraża w tysiącu językach coraz innemi dźwiękami, tak w narodach tysiącu wyraża się pod inną coraz postacią... Nasze idee z nas wyrość powinny. Może je słońce wieku oświecić i do życia powołać, ale wierzajcie mi, przywiezione z Francyi, z Niemiec, z Anglii doktryny na naszym gruncie zmarnieją lub w chwast pójdą...

Niech Bóg błogosławi dobrym chęciom, dodał kanonik — nie zapominaj wszakże, żeś katolik i Polak... nigdy... że nasz katolicyzm jaśniejszy był i gorętszy i rozumniejszy niż którykolwiek bądź, co go dziś sprowadzają z za gór i chcą zaszczepić na nas.

Machnął ręką... Sławek stał i słuchał.

— Nie lękaj się, ojcze, rzekł, ale też i nie wierz lekko, gdy ci na mnie źli ludzie powiedzą, żem oszalał i ogłupiał... z początków wnosząc, miarkuję, że mnie nie jedno słowo niejasne.. nie jedna myśl źle wypowiedziana, pod pręgierz wywlecze!!

— Pomódl się! cicho szepnął kanonik.

~~~~~~

Lena siedziała w krześle, trzymając w ręku rolę nieznaczącą, którą jéj wyznaczono, a myślała pewnie nie o niéj, gdy do drzwi dziwnie jakoś zapukano...

Po chodzie byłaby poznała Sławka... domyśliła się, że to ktoś obcy i wstając, dosyć nieukontentowana, że jéj przerwano, odezwała się — proszę.

Drzwi otwarły się powoli, ostrożnie, i w progu ukazał się stary jegomość, przyzwoicie ubrany, nieznajomy całkiem, z twarzą zaschłą i nieokreślonego wyrazu.. niemający w sobie nic teatralnego. Wyglądał raczéj na przeżyłego jakiegoś profesora...

Lena przypatrywała mu się bacznie, usiłując odgadnąć, coby ta wizyta znaczyć mogła.

— Wszak z panną Heleną Prater mam przyjemność mówić? spytał nieznajomy, wpatrując się w nią bardzo bacznie.

— Tak jest panie...

— Wszak z córką pani Prater, która była z domu Sopoćko? zapytał nieznajomy po chwili.

— Imię mojéj matki... było... Aniela, a nazwisko rodziny... tak! zdaje mi się Sopoćko...

— Imię było Aniela! powtórzył przybyły, tak imię jéj było — Aniela, nie mylę się...

Lena stała niezmiernie zdziwiona

Przybyły zdawał się wzruszony, pomięszany, jakby niepewien, co mówić daléj... Milczeli oboje...

— Proszę mi przebaczyć, odezwał się po chwili nieznajomy... jestem.. w tak dziwném położeniu...

— Niech pan siada... podsuwając mu krzesło — rzekła Lena, która z niego niespuszczała oka.

— O Boże! zawołał, ręce składając, stary,.. mógłżem się spodziewać kiedy...

Tu przerwał nagle... zamilkł.

Lena, wpatrując się w niego coraz baczniéj, przypomniała sobie w nim zmienioną tylko perspektywę, jednę z tych postaci w ulicy widywanych od wieków, w mieście znanych, do któréj, nazwiska niewiedząc tylko, nawykła była od dawna. Sopoćko kręcący się nieustannie po ulicach, był popularnym, ulicznicy zwali go szaraczkiem, gdyż najczęściéj ubierał się w suknie tego koloru, przydomek ten dany mu Lena niegdyś słyszała nawet i pomyślała sobie — co też ten szaraczek chce odemnie?

— Mógłżem się ja spodziewać kiedy — dokończył Sopoćko, żebym córkę méj siostry... zastał... aktorką!!

Lena w pierwszéj chwili usłyszawszy to, zawołała.

— Siostry twéj! Pan byś był bratem méj matki? Matki mojéj! krewnym tak bliskim?

Oczy jéj pałały, ale myśl, że ten tak bliski krewny dopiero się teraz o niéj dowiedział, że nie szukał ani matki ani sieroty po niéj, ostudziła ją i uczyniła ostrożną a nieufną.

— I pan... dopiero teraz... dowiedziałeś się.

— Wypadkiem! rzekł Sopoćko...

— A o zgonie méj matki... o losie matki... Sopoćko się zmięszał widocznie.

— Matka waćpanny, rzekł surowo, naraziła się całéj naszéj rodzinie przez nierozważne i nieodpowiednie zamążpójście... wyrzekliśmy się jéj i stósunków z nią.

Lena cofnęła się o krok dumnie.

— A zatém, odparła, i sieroty się państwo wyrzekliście — nie mam więc szczęścia być siostrzenicą pańską.... Nic uwłaczającego pamięci méj drogiéj matki słyszeć nie chcę...

Gorąco wyrzeczone słowa zmięszały pana Sopoćkę..

— Ja wcale w złéj intencyi tu nie przychodzę, rzekł, ani myślę wywoływać pamięć rzeczy dawnych i już na sądzie Bożym będących... Mam pewne obowiązki względem waćpanny...

— Żadnych, odpowiedziała żywo Lena, jeśli ich nie mieliście względem méj matki. Powtarzam panu, jesteśmy i będziemy sobie obcy. Dwadzieścia kilka lat, sierota nie miałam rodziny, ona zapomniała o mnie — ja dziś nie pamiętam o niéj... Przyznam się, że w innych okolicznościach rodzina... byłaby dla mnie największym skarbem, szczęściem.. ale... ja nie mam rodziny.
~~~~~~

— Czy waćpanna chcesz, czy nie, ale ją prawnie masz, rzekł zimno Sopoćko... ja jestem legalnym jéj opiekunem...

— Być może — nie zdaje mi się jednak, bym teraz potrzebowała opieki — odpowiedziała Lena równie chłodno. Nie miałam jéj, gdym z głodu marła, gdym była dzieckiem na miłosierdziu i jałmużnie, nie chcę jéj teraz...

— Powtarzam pannie, zawołał Sopoćko, że tu nie idzie o jéj zezwolenie... fakt jest, żem ja opiekun...

— A z tego faktu cóż pan chce wyciągnąć?

— Może to, iż o przyszłości jéj mam myśleć prawo...

— W jaki sposób?

— Jak mi się podoba... A naprzód może niechcę méj siostrzenicy widzieć na deskach teatralnych i na drodze do zguby.

Lena ruszyła ramionami.

Daruj mi pan, rzekła, prawa nie znam, ale serce ludzkie oceniać nauczyło mnie nieszczęście. Nie ozwało się ono jeszcze w panu... powiedz mi więc, proszę.. czego możesz żądać odemnie i z czém do mnie przychodzisz?

— Chcę się zająć jéj losem...

— Zawsze dla mnie tajemnicą, dla czego teraz, nie dawniéj.

— Bom o niéj nie wiedział?

— Przepraszam pana, nagle zbierając swe wspomnienia, odpowiedziała Lena... pan doskonale musiałeś wiedzieć o mnie, ale zapewne naówczas nie miałeś powodów upominania się o opiekę. Doskonale pamiętam, gdym była u Sióstr i na pensyi, żeś pan asystował eksaminom, na których moje nazwisko było czytaném... Gdybyś był chciał choć spytać naówczas... o tę biedną Helenę Prater... Teraz zapewne masz pan jakieś dla mnie niezrozumiałe przyczyczy troskliwego opiekowania się.

Rozśmiała się gorzko, Sopoćko schwytany na fałszu porwał się zarumieniony, gniewny, napróżno usiłując być panem siebie. Nic go więcéj upokorzyć nie mogło, jak być złapanym na gorącym kłamstwa uczynku.

— Nie spodziewałem się, zawołał, abym w niéj zastał istotę, tak zdziczałą, tak... tak zdziczałą, tak... tak zdziczałą, tak... z prawéj drogi sprowadzoną, dla któréj najświętsze uczucia rodzinne.

— Ą! panie! ja je szanuję, gdzie są... ale, gdzie ich nie czuję...

— Szczególne zaprawdę przyjęcie wujaszka, rzekł, śmiejąc się złośliwie Sopoćko.

— Prawda... aleś pan przybył tak późno!

Dałeś uschnąć sercu mojemu...

Odstąpiwszy kilka kroków, ukłoniła mu się, jak gdyby wzywając do wyjścia — Sopoćko tak z niczém odejść sobie nie życzył.

— Nie przyszedłem tu, aby jéj przykrość zrobić — anim się spodziewał téż, że jéj od panienki doznam... przecież musisz mi wierzyć, że mam dla niéj dobre chęci...

— Wierzę panie, odpowiedziała Lena... i dziękuję mu za nie, ale w żadnym razie nic nie pragnę i chcę tylko pozostać swobodną...

— Cóż to? tak szczególne powołanie do teatru? spytał stary.

— W istocie.

— Mówiono mi, żeś była nauczycielką?

— Nie miałam znać do tego potrzebnych zdolności..

— Może stan ten zbyt dla niéj był surowym...?

— Nie rozumiem...

— Teatr jest swobodniejszym, ale w nim traci się sława, czystość...

— Ci je tracą, którzyby i gdzieindziéj ich nie uchowali — odparła Lena.

— Mówmy otwarcie — nalegał Sopoćko — ja WPannie pomimo to, że wychodzisz z tego nieszczęsnego teatru, wyrobię miejsce nauczycielki, w zakładzie znakomitym... i gdzie przynajmniéj sława jéj będzie zabezpieczoną!

Lena śmiała się pogardliwie.

— Mów waćpanna ze mną po dobréj woli, zawołał rozgniewany Sopoćko — to nie są żarty! Ja jestem jéj opiekunem legalnym... prawo mi przyjdzie w pomoc, mogą WPanę wziąć siłą z téj jaskini.

— Jaskini! z oburzeniem podchwyciła Lena... Prawo może przyjść mu w pomoc — dodała, po latach dwudziestu kilku, w przeciągu których pan mnie w pomoc przyjść nie myślałeś! Ą! to by było srogie szyderstwo!! to by była tyrania...

Ja jestem pełnoletnią! zawołała — WPan szydzisz chyba ze mnie, grożąc mi prawem i siłą.. ja chcę być swobodną — jakem była... i nic, nawet łaskawéj waszéj opieki nie potrzebuję...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Pieśń rybacka.

Po nad fale wschodzi zorza,
Jasna zorza, słońca brew,
Hołd jéj niesie szum ten morza,
I mój pierwszy, ranny śpiew.

Większe szczęście mi się nie śni!
Nad szum morski większyż chór?
Ach i czyjéj, czyjéj pieśni
Wtórzył większy kiedy wtór?

Nad rybackie niema życie:
Mą kołyską morza wał.
Któż wspanialsze miał spowicie,
Komu żywioł łoże słał?

Prędzéj łodzi — w śmiałéj dłoni
Za miecz wiosło dał mi Bóg,
Komuż przy tak wątłéj broni,
Większy kiedy służył wróg!

Prędzéj łodzi, prędzéj łodzi
W szmaragdową, jasną dal,
Inni w życia mrą powodzi,
My śród morskich żyjem fal!

Morze mię od ludzi dzieli,
Pośród ludzi, tylko ból!
Tam rozbitki bez topieli,
Ja śród morza, wolny król!

Tam nad morską sroższa burza,
Gdy namiętność w sercu gra;
U nas, gdy się niebo schmurza,
Morze jęczy, w sercu — sza...

Żebrak zaśnie pośród darni,
Bogatego skryje głaz;
Żebrak, bogacz, obaj marni,
Morze, morze chłonie nas!

Oni smacznie będą spali,
Lecz ja w lepszym zasnę śnie —
Pośród pereł i korali,
Morze, morze skryje mię!

J. K.

Sebastyan Klonowicz.

Forsitan ad manes dulcedo postuma laudis
Perveniet nostros et seri sensus honoris.
Acernus.

Chwalebny gdzie indziéj zwyczaj stawiania zasłużonym mężom posągów i pomników u nas się nie przyjął jeszcze. Na całe Wielkie Księstwo Poznańskie mamy ich trzy tylko: w katedrze poznańskiéj posągi Mieczysława I i Bolesława Chrobrego, przy kościele świętego Marcina w Poznaniu posąg Adama Mickiewicza i w Sulmierzycach pomnik wystawiony pamięci Sebastyana Fabiana Klonowicza. Brak ten posągów świadczy wymownie o obojętności, niewdzięczności, a może i zazdrości naszéj, oraz, że nam zbywa na poczuciu estetyczném, bo nie umiemy rynków i ulic naszych przyozdabiać należycie. W Niemczech nie ma prawie miasteczka większego, któreby się nie dobyło na zebranie funduszu wystarczającego na pomnik dla jakiego współobywatela swego, który czémśkolwiek się odznaczył. Dla tego też w Niemczech kwitną sztuki piękne; snycerze, malarze, rytownicy, litografowie, budowniczy, w ogóle wszelkiego rodzaju sztukmistrze nie tylko że znajdują dostateczne utrzymanie, ale są także we czci i poważaniu, gdy tymczasem u nas talenta marnieją lub zagranicę wynosić się muszą, by cudzym bogom służyć. Lubimy przepych i wystawność w powozach, koniach, liberyi, stroju, jadle i napojach, ale lubowników sztuki policzyć można w Księstwie na palcach. Może kto zarzuci, że nam wprzód starać się należy o podniesienie bytu materyalnego, że potém sztuki same w ślad za nim podążą; odpieram atoli zarzut ten dopiero co zganioném marnotrawstwem, które poskromione dostateczne pozostawiłoby w rękach naszych sumy na



Pomnik Sebastyana Klonowicza w Sulmierzycach.
Drzeworyt wykonany przez Lipczyńskiego, ucznia Akad. Sztuk Piękn. w Berlinie według rysunku z natury P. A. Wodniakowskiego.

pielęgnowanie sztuki i tém samém uszlachetnienie idealnéj strony człowieka.

Dzięki więc Towarzystwu Przyjaciół Nauk w Poznaniu, że od samego zawiązku swego prócz innych szlachetnych celów swoich zajmuje się także odgrzebywaniem zapylonéj sławy Wielkopolan, odświeżaniem i przypominaniem życia i czynów mężów narodowi dobrze zasłużonych, a stósownie do skromnych swych zasobów fundacyą przynajmniéj tablic pomnikowych.

Ze stanowiska naszego jako jedynego pisma illustrowanego na całe Księstwo czujemy się szczególnie obowiązani wszelkie na tém polu czynione starania i postępy śledzić i czytelnikom naszym do wiadomości podawać. Zaczynamy od tego, co już mamy; może będziemy mogli później też o czémś nowém pisać.

Dziesiątego czerwca roku 1862 w Sulmierzycach, małém miasteczku wielkopolskiém, na samém pograniczu Szląska w dzisiejszym powiecie odalanowskim leżącém, odbyła się wspaniała uroczystość odsłonięcia pomnika wystawionego na pamiątkę Sebastyana Fabiana Klonowicza, który w tém miasteczku roku 1551 się urodził. Pomnik odlany z żelaza stanął w fabryce Hipolita Cegielskiego staraniem czcigodnego ks. proboszcza Siwickiego.

Jakież tedy miał prawo Klonowicz, słusznie zapytać się godzi, do czci, jaka w 250 lat przeszło po śmierci cienie jego spotkała? Czy był bohatyrem, który świetnemi zwycięstwami sławę imienia swego na kartach dziejów ojczystych zapisał, lub wielkim mężem stanu, co prawdą, mądrością i wolą nieugiętą przyczynił się do przewagi narodu swego nad sąsiednie, lub tyle fortunnym, że wynalazkiem jakim albo odkryciem stał się dobrodziejem ludzkości?

W ubogim domku mieszczańskim zrodzony Klonowicz nie był ni tym ni owym. Koleje życia jego były takiemi, jak tysiąca innych Można je objąć kilku słowy: urodził się, skończył szkoły, urzędował po miastach i umarł, nawet w nędzy, bo w szpitalu. Cóż więc wyróżniło go między ludźmi, że imię jego doszło do potomności, że wiek dziewiętnasty poczuł się do obowiązku wystawienia mu pomnika? Odpowiedź nie trudna.

Szanujemy i poważamy to, co ideałowi naszemu odpowiada. Dla Polaków więc przedewszystkiém ten mąż wielkim, który we wszystkich swych czynach i słowach okazał, że kochał naród i ojczyznę, który dla téj miłości cierpiał nawet. Mieliśmy i mamy Bogu dzięki dużo miłośników ojczyzny, nigdy nam na nich nie zbywało. Gdy trąba do boju się odzywa, starych i młodych bez różnicy płci nawet porywa zapał święty, gotowiśmy wtedy porzucić majątek, żonę i dzieci, wszystko co mamy najdroższego. Jest to cnota nasza przyrodzona i ogólna, leży w charakterze naszym, zatém miłość taka nie daje tytułu do stawiania nam posągów. Ale inna jest jeszcze, szczytniejsza daleko miłość ojczyzny — miłość nie chwilowa, nie rozpaczliwa, ale ciągła, nieustanna, pracowita, trwała i nie upadająca pod żadnym ciosem! Polak w ten sposób miłujący ojczyznę jest naszym ideałem; a miłości téj każdy może dać dowody, w każdym stanie, każdym zawodzie. Dopiero ostatnie lata pouczyły nas, że nie porywy egzaltowane wynoszą lub utrzymują naród na pewnéj wysokości, lecz ciągła praca czyli, co na jedno wychodzi, ciągła miłość ojczyzny.

Jakże wysoko więc cenić winniśmy człowieka, który już przed trzema wiekami tym warunkom dzisiejszego ideału naszego odpowiadał! Ten wzgląd właśnie stał się przyczyną wystawienia Klonowiczowi pomnika, bo podobnéj miłości był wzorem. Aczkolwiek urodzony w stanie mieszczańskim nie sądził się być wolnym od obowiązków, jakie ówczesne prawa szlachcie tylko przyznawały. Czując się synem téj ziemi, która go zrodziła, wszystkie swoje siły umysłowe wytężał, całego od natury danego mu talentu użył na to, by ziemi téj służyć niemi. Pobudzał do miłości ojczyzny, chwaląc pieśnią piękności i zalety ziemi polskiéj; pobudzał do poprawy obyczajów, wystawiając w jaskrawych barwach zepsucie wkradające się do Rzeczypospolitéj; wytykał wszystkim stanom bez różnicy, w czém błądzą, a jakiemi być powinny; nawoływał do obrony kraju i zagrożonéj religii. Nie czynił zaś tego jako anonimus, nie uderzał z ukrycia, lecz odważnie z męską godnością i odwagą, z wizyrem niespuszczonym potykał się z wrogiem, którego chciał pokonać. Ztąd poszło owo prześladowanie, co go za życia spotkało, ztąd poszło owo palenie książek jego, bo prawda w nich zawarta za nadto w oczy kłuła.

Umarł zapoznany w nędzy i osieroceniu, ale tém głośniéj dziś sława jego po całéj ziemicy polskiéj brzmi.

Szczęśliwe Sulmierzyce, że takiego wydały współobywatela!

S. W.

Odkrycie Zwłok Króla Chłopów na Wawelu.

Nie pamiętam sprawy, którаby goręcéj zadziałała na umysły i serca, jak obecnie w Krakowie odkryte przypadkiem zwłoki Kazimierza Wielkiego. I zaiste ważny to wypadek dla pokoleń całych, bo po 500 latach wychyla się z grobu czaszka największego z królów naszych, a biały dzień oświeca koronę, berło i jabłko królewskie, a świeże ojczyste powietrze po pięciu stuleciach znów owiewa króla prawodawcę, a to wszystko wtedy, gdy naród obchodzić ma pamiątkę unii Litwy z Koroną, któréj zawiąski za Kazimierza Wielkiego przypadły — i to wtedy, gdy świat uczony zabiera się do obchodu pięciusetletniéj rocznicy nadania Statutu w Wiślicy. Chyba zrządzenie Opatrzności, iż znowu mamy kustosza insygniów koronnych a modląc się przy zwłokach wystawionych w kaplicy Zmartwychwstania, gotujemy się do pogrzebu króla, którego czasy oby nam jak najrychléj wróciły.

Chcąc wam opowiedzieć, zkąd przyszliśmy do tak szczęśliwego wypadku, który cały kraj nastroił w jakieś dziwne, bo poważne a rzewne uczucie, wypada mi opowiedzieć rzecz całą ab ovo, a zatém wskazać i te usiłowania, które tak nieprzewidzianym wypadkiem uwieńczone zostały.

W roku 1861 spostrzegł p. Łepkowski, profesor archeologii przy tutejszym uniwersytecie, rozstępujące się marmurowe płyty wspaniałego grobowca Kazimierza Wielkiego na Wawelu. Postawił tedy w Towarzystwie Naukowém Krakowskiém wniosek restaurowania jak najrychlejszego grobowca zaleconego sztuką, bo należącego do arcypięknych monumentów XIV stulecia. Zygmunt Antoni Helcel, on, który dziełem swojém o Statucie Wiślickim nie powiem podniósł i wskrzesił, ale utrwalił w narodzie zasługę Kazimierza Wielkiego, poparł wniosek Łepkowskiego a nawet wystarał się, że pierwsze składki z rąk Karola Hoffmanna, znanego akwarelisty i historyka w Dreznie na restauracyę pomnika wpłynęły. Wtedy wyjeżdżał właśnie p. Łepkowski do Wielkopolski, gdzie chcąc piekącą go myśl urzeczywistnić, użył pośrednictwa rodziny Libeltów do uzyskania składek, których znaczną kwotę, bo coś z góry 300 złoz Wielkopolski przywiózł. Następnie uzyskał ofiary od Żydów warszawskich, wreszcie od chłopów z Podtatrza. Przyszło mu walczyć nawet z oporem kapituły krakowskiéj, która nie wierzyła, iż restauracya wymagająca znacznych funduszów, drogą składek drobnych przyjść może do skutku. Ośm lat kołatał, aż zebrawszy prawie tyle, ile na koszta odnowy liczono, uzyskał postanowienie rozpoczęcia roboty pod opieką Towarzystwa Naukowego Krak. Pierwotnie chciał akt odsłonięcia wyrestaurowanego pomnika połączyć z obchodem pięciusetletniego jubileuszu założenia Akademii krakowskiéj; następnie gdy trudności niedające się przewalczyć nie pozwoliły na rozpoczęcie roboty w r. 1864, pragnął znowu teraz dokonać jéj na obchód pięciusetletniego nadania Statutu w Wiślicy. Zamiar przyszedł do skutku. Towarzystwo Naukowe oddało kierunek restauracyi pp. Pawłowi Popielowi, Dr. Żebrawskiemu, Łuszczkiewiczowi, Matejce i Kremerowi. Sądzono, że król spoczywa pod sarkofagiem, a więc zdejmując 19 maja b. r. marmurowe płyty tworzące grobowiec, nie spodziewano się, że gruz nalany wapnem, tworzący rdzeń pomnika, mieści w sobie zwłoki Kazimierza.

Dnia 14 czerwca b. r. przypadkiem, próbując, czy ta podstawa sargofagu utrzyma rzeźby, które miały znowu powrócić z pracowni kamieniarza, zrobiono otwór. Majestat koronowanego i groza śmierci przeraziły obecnych. Z modlitwą, czcią i przestrachem niejakim zamurowano grobowiec. P. Popiel zawiadomił o tém Kapitułę katedralną krakowską i Towarzystwo Naukowe — przystąpiono do oględzin. Wezwany do téj czynności p. Łepkowski, spisał w obecności zgromadzonych protokół z wszelką możebną ścisłością znany z 135 numeru Czasu a powtarzany we wszystkich dziennikach. Nie ruszano niczego, p. Matejko wyrysował tylko głębię grobu — zamurowano i opieczętowano przy świadkach. Oględzinom tym dokonanym z głębokiém uszanowaniem,

z ścisłością nawet pedantyczną, nikt nic zarzucić nie może. Zaczęto wołać: otwórzcie grób i sprawcie trumnę, zróbcie pogrzeb! — Nalegano na opór p. Popiela, który wahał się, czyli wolno wydobyć zwłoki królewskie. Domagano się energicznie, wołając: zamknęliście tajemnicę w grobie, która wam ciekawość ludzka rozsadzi! Postanowił więc p. Popiel, rządowy konserwator zabytków pomnikowych, oddać decyzyą Biskupowi i Kapitule katedralnéj krakowskiéj, téj opiekunce grobów królewskich, która je pod strażą swoją ośm wieków chowała. Zdecydowano się na uroczyste wyjęcie zwłok, aby je w nową trumnę przełożyć i uczcić pogrzebem Stało się to w obecności świetnego zgromadzenia powołanych do tych urzędowych czynności dnia 21 czerwca b. r. — czego protokół ogłosił Czas w nr. 140, a zanim wszystkie powtórzyły dzienniki. Czynności téj dokonano z całą skrupulatnością, powagą i religijnym obrzędem. Doktór med. Kozubowski, profesor anatomii w uniwersytecie Jagielońskim, wyjmował kości i wszystko co w grobie było, podając je w obec kapituły, posłów i reprezentancyi Towarzystwa Naukowego przez ręce p. Józefa Szujskiego, hr. Stanisława Tarnowskiego i Jana Matejki, księdzu kustoszowi skarbca katedry, Sylwestrowi Grzybowskiemu. P. Łepkowski wezwany przez kapitułę, spisywał protokół. Jakkolwiek czynność taka ściśle urzędowa nie mogła się odbywać w obec publiczności, przecież trudno było zgromadzonym w kościele wzbronić udziału w jéj odbywaniu a więc otwarto drzwi opierzenia grobowca, pozwolono patrzeć, a nawet konserwator p. Popiel koronę, perły, jabłko świata, ostrogi i pierścień okazał ludowi. Insygnia koronne oddano pod straż księdzu kustoszowi katedry. Odniesiono je na srebrnych tacach do kaplicy Wazów. Oprócz kapituły i posłów pp. Zyblikiewicza, Chrzanowskiego, Tarnowskiego, prezesa Majera, nadto hr. Andrzej Zamojski, hr. Piotr Moszyński i członkowie komisyi restauracyi ek-kortowali te drogie skarby. Lud rozstępował się, klękając. Insygnia złożono na wezgłowiu. Za niemi zamkniętą trumnę, z czterech zwyczajnych desek zbitą, nieśli kanonicy i co przedniejsi z obecnych. Każdy chciał się dotknąć tych drogich szczątków, więc ręce kładziono na wieko. Powolny pochód przy śpiewie De profundis, stanął przed katafalkiem w kaplicy Wazów, gdzie wśród świateł złożono zwłoki Wielkiego króla. Gdy łkanie z nutą Salve Regina łączyło się w rzewną modlitwę, pp. Popiel i Łepkowski dopełniali aktu opieczętowania trumny i wezwania wszystkich przytomnych na świadków téj istotnie ściśléj skrupulatności, z jaką czynność całą przeprowadzono. I stoją na Wawelu zwłoki Kazimierza! Zdawałoby się teraz, że wszelki chałas ustać powinien w mieście, że bębny, trąby i muzyki umilknąć powinnny, że dziennikarstwo zajmie się podniesieniem ogółu w uczuciu poważném, jakiego potrzebuje chwila nowego pogrzebu. Zdawałoby się, że szpalty dzienników przepełnią się przypomnieniem zasług Kazimierza Wielkiego że pogrzeb ten stanie się świadomą we wszystkich warstwach narodu uroczystością jubileuszu, pięćsetlecia nadania Statutu Wiślickiego i trzechwiekowéj rocznicy Unii Lubelskiéj. Tymczasem inaczéj się stało.

Krajowi zdawało się, że redakcya Czasu była zaproszona do uczestnictwa aktowi a jéj członków pominięto. Ztąd spór namiętny, waśń osobista, spieranie się wzajemne a dowodzenie, że akt nie był dość formalny dla tego, że w opierzeniu około pomnika parę łokci przestrzeni mającém, nie stanęły instytucye, reprezentacye, redakcye i lud wiejski. Wszczął się spór i nagabywania urządzającéj akt Kapituły katedralnéj, czemu do czynności wyjmowania zwłok, do aktu ściśle urzędowego nie wezwała całego narodu. Rozdrażnieni polemicy zapomnieli, że nigdzie na świecie z aktów takich nie robią manifestacyi — że manifestacyą może być pogrzeb tylko; zapomniano, że sarkofagu i grobu nie można wynieść w szczere pole, a opierzenie osłaniające grobowiec oparte na węgarach, na których zawieszony w powietrzu ogromny kamienny baldachim; zapomniano, że na 4 łokciach kwadratowych reprezentacyi pomieścić nie można. Zaciętość polemiki doszła tak daleko, iż Kraj oświadczał, że akt ten cichaczem zrobiony, zaś obrządek religijny wydał mu się poszukiwaniem archeologicznem. Na konserwatora p. Popiela powstano zacięcie, chociaż nie on, ale Kapituła katedralna czynnością tą kierowała. Ukazał się też protest przeciwko rozszarpaniu pamiątek z grobowca. Akt rozesłano po Galicyi do podpisów. Spierano się, kłócono, chociaż nikt się nie pytał, kto i co rozszarpał, kto i co brać stamtąd zamyśla. Powodem do tego protestu była następująca okoliczność.

Kapituła katedralna zawezwała dnia 21 czerwca r. b. tych panów świeckich, którzy byli powołani do uczestniczenia w przełożeniu zwłok do trumny, aby oświadczyli, ażali obyczajem przyjętym powszechnie nie godziło się pierścienia przenieść do skarbca katedralnego, który począwszy od pierwotnego berła królów naszych tyle drogich nam pamiątek przechował? Jesteśmy dobrze poinformowani, więc z wszelką pewnością powiedzieć możemy, że hr. Moszyński, poseł Chrzanowski i pan Józef Łepkowski byli za zostawieniem w grobie wszystkiego, nie życząc, aby cośkolwiek ztamtąd do skarbu przeniesioném zostało.

Pan Łepkowski mówił prawie temi słowy: „Któż nam zaręczy, że ten pierścień nie będący sygnetem królewskim, ale raczéj pierścionkiem, pozwalający się domyślać, że go pamiątka na królewskim palcu zostawiła, nie jest zaręczynnym Kazimierza z Aldoną, a zatém symbolem pierwszego związku Litwy z Koroną, który pierwéj miłość spełniła, zanim go Zygmunt August aktem Unii Lubelskiéj zatwierdził?' — Któż nam zaręczy, że umierając, król nie prosił, aby przy nim ta pamiątka została? Jeśli tedy rozum nie ma nic przeciw temu, aby ów pierścionek żył dla narodu w skarbcu katedry, to uczucie nakazuje mi głosować za pozostawieniem go w trumnie wraz z wszystkiém, co znaleziono w grobie."

Na te słowa p. Łepkowskiego ślicznie odpowiedział p. Matejko w następującą myśl: „I mnie przeczucie każe wierzyć, że to pamiątka, a jeśli rzeczywiście tém ogniwkiem symbolizować się ma połącznie Litwy z Koroną w sercu Wielkiego Króla, to zaiste niech ten pierścień zaślubia przeszłość z przyszłością, niech wyjdzie z grobu, aby miłość rodził. Obawiam się, byśmy zadaleko nie zaszli w tym konserwatyzmie, co nawet i to do trumny chce zagrzebać, co żyć i życie rodzić powinno! Radzę wam panowie, abyście pamiętali, że to ogniwo miłości zakute ankrami grobowca na dnie jego na całe stulecia zagrzebiecie w martwotę!"

P. Szujski podzielił zdanie Matejki, a prezes Majer, dowodząc, jak wielką wartość mają dla narodu pamiątki, gdy z nich tajemnicza siła udzielać się może tym, co je oglądają, głosował za przeniesieniem pierścienia do skarbca, a pragnął, aby 2 guziki (z dziesięciu znalezionych) oddać do muzeum Towarzystwa Naukowego. Prałaci nie przeczyli w zasadzie wnioskom dowodzącym potrzeby nie zagrzebywania wszystkiego w grobie — owszem napomykali, że i relikwie świętych oddają się żywym, a to czci dla nich nie umniejsza. O ile wi my, byliby zezwolili nawet na to, aby berło umieścić w skarbcu obok włóczni świętego Maurycego, tego symbola władzy oddanego przez Ottona Chrobremu, przecież decyzyą zostawili sobie. Tymczasem ów protest przeciwko wyjmowaniu z grobu czegokolwiek, nazywający krok taki zbrodnią, a twierdzący, iż nie ma rozumu, wiary i miłości ojczyzny, kto cokolwiek z grobu tego wyjąć zamierza, sprawił, iż członkowie kapituły na sesyi dnia 24 b. m. zadecydowali wszystko w trumnie zagrzebać.

Kraków, 24 czerwca. Wincenty S.

Szkoła Ukraińska i Bogdan Zaleski.

Szkic literacki

przez **J. K.**

(Ciąg dalszy.)

Pojęcia o szkole i piśmiennictwie rozmaitemi czasy rozmaitym ulegały zmianom i podług tego krytycy to żadnéj w naszéj literaturze znać nie chcieli szkoły, to znowu wszystkich i wszystko aż do zbytku silili się układać w pojedyńcze szkoły, jak w pudełka. Jak wszędzie, nie umiano i tutaj znaleść pośredniéj drogi. Przyczyna tego leży właśnie w niestałéj i niejasnéj definicyi pojęcia szkoły, a raczéj w pojmowaniu jéj analogiczném do pojęcia szkoły w innych sztukach pięknych. Szkoła w piśmiennictwie a szkoła w malarstwie n. p., najmniejszego ze sobą nie mają pokrewieństwa. Tu przeważa pierwiastek materyalny, to jest forma, tam pierwiastek duchowy, t. j. idea. Idea sama, jako taka jedną jest; dążenie do jéj wcielenia rozłożyć atoli można na rozmaite promienie działalności. Promienie te, osobno i samoistnie działające w pewnym przecież, a jasno określonym celu zbiegają się, zbiegłszy uzupełniają się wzajemnie, uzupełniwszy, jako skończona i określona całość występują. Kilku poetów razem dąży do artystycznego odtworzenia, wcielenia jednéj i téj saméj myśli ale chociaż tendencya ich jedna, każdy inną działania obiera drogę i każdy na swéj drodze cel wspólny osiągnąć może.

Drogi ich, pieśni, któremi naród obdarzyli, schodzą i zlewają się wtedy w jednę harmonijną całość, tworząc jeden i ten sam kierunek. Jeżeli kierunek tak uformowany posiada nadto w łonie swojém pierwiastek krytyczno-estetyczny, uosobiony w osobnym talencie, to pierwiastek ten stanowi węzeł i spójnią pojedyńczych części i nadaje kierunkowi całemu znamię i charakter szkoły. Myśl więc kładzie podwaliny szkoły w piśmiennictwie, forma — nigdy.

Cóżbyśmy orzekli o krytyku, któryby wszystkich piszących sonety zaliczył do szkoły Petrarki, wszystkich piszących tercety lub stance do szkoły Danta lub Torquata Tassa. A jednak autorowi niniejszéj rozprawy zdarzyło się pokilkakrotnie spotykać podobne, chociaż może nie tak jaskrawo paradoksalne zdania. Ale i nie w każdym czysto duchowym kierunku można mówić o szkole. Poeta — geniusz kilku wielkiemi rzutami potężną uplastycznił ideę, olśnił jéj blaskiem cały naród — w nim kilku pośledniejszych zdolności poetów, którzy to, co mistrz posągowo wypowiedział, rozprowadzić starają się. I znaleźli się tacy, co literaturę naszą zbogacić chcieli szkołą Mickiewicza, Krasińskiego i t. d. Czy to szkoła? — Nie, to warsztat raczéj, którym mniéj lub więcéj zręczni robotnicy ze wspaniałego marmurowego posągu tuzinami tworzą gipsowe odlewy. Jest naśladownictwo, nie ma szkoły. W ideach wielkich, wstrząsających ludzkością, w ludzie i jego pieśni są zarodki szkoły, w indywidualności jednego gieniuszu — nigdy. Bo on dla tego gieniuszem, że wraz z ideą swą rzucił w świat alfę i omegę jéj rozwoju, że ją w sobie skrystalizował i jako piękną całość z siebie wydobył, szkoła natomiast przedstawia nam się raczéj w postaci żniwowego z kłosów wieńca, w którym każdy kłos inny, a każdy mówi to samo.

Lucyan Siemieński, trzymający teraz berło krytyki, nie uznaje w literaturze naszéj żadnéj szkoły; szkoda tylko, iż powodów tego nieuznania nie podaje, bo zapatrywania się tego znakomitego męża tak wysoko krytycznym obdarzonego zmysłem, najpewniéj przyczynićby się mogły do ostatecznego wyświecenia pytania: Mamyli szkoły, lub nie mamy ich? — Szkoły dokumentują bogactwo literatury — czemuż ich jéj odmawiać. Powody, dla których to Siemieński czyni, muszą być ważne i przekonywające — nie śmiem o tém wątpić; nie znając ich, nie mogę z nich korzystać, pragnąłbym tylko wywindykować rehabilitacyą jednéj szkoły, t. j. szkoły ukraińskiéj. Ona jedyna może wszystkim szkoły odpowiada warunkom. Krytycy dawno się już zgodzili na to, iż Malczewski i jego Marya reprezentują Ukrainę szlachecką, Goszczyński Zamkiem Kaniowskim wyśpiewał Ukrainę hajdamacką, Zaleski przyjął na siebie odtworzenie Ukrainy historycznéj i ubarwił swój kierunek oprócz tego Ukrainą fantastyczną Rusałek. Zupełnie to odmienne drogi, lecz wzięte razem kierunki tych poetów przedstawiają jednę tylko Ukrainę. W tém ukształtowaniu padło Michałowi Grabowskiemu zaszczytne zadanie być ogniwem i spójnią tego łańcucha — krytykiem, a po za pierwszym zastępem snują się dalsi przedstawiciele, Tomasz Padura, Alexander Groza, Tomasz Olizarowski i inni. Tak ukonstytuowana szkoła ukraińska zajęła od razu zaszczytne miejsce w literaturze narodowéj, a zajęła je tak z powodu dzielności do jéj składu wchodzących śpiewaków, jak dla ukraińskiéj, ludowéj tendencyi.

Polak miłość gorącą, którą cały swój kraj obejmuje, przenosi w szczególności do jednéj jéj części, do rodzinnego zakątka. Mickiewicz najchętniéj przebywa w Litwie, w każdym prawie obrazie maluje nam Litwę, wszystkie jego utwory oddychają powietrzem litewskiém, płaczą i tęsknią za Litwą, jak za utraconym rajem. Lenartowicz, choć cały lud polski ukochał miłością ojca i z równym talentem kreśli obrazy z każdéj kraju dzielnicy, najchętniéj jednak zwraca się ku Mazowszu, kolebce swéj młodości, po mistrzowsku maluje charakter Mazura, a pożycie i obyczaje jego w czarowne poezyi ubiera szaty.

Ukraina przed wszystkiemi innemi dzielnicami Polski najżyźniejszemi dla poezyi szczyci się niwy. Usposobiły ją do tego tak położenie geograficzne i w związku z niém będąca historyczna przeszłość téj kraju części, jak charakter mieszkańców bez skazy zachowany, a któremu cała Polska ożywczych dostarczała pierwiastków. Nie dziw przeto, iż Ukraina tylu spłodziła wieszczów, nie dziw i to, iż śpiewając swój kątek rodzinny najulubieńszymi są w kraju. Jakaż bo też piękna ta ich Ukraina. My wszyscy, którzyśmy ją tylko z dumek Bogdana naszą duszą pojęli i w wyobraźni odtworzyli, wzdychamy do niéj jak Włoch do Neapolu, (raz widzieć i umrzeć) — lub mierzymy uczucia nasze na skalę uczuć wielkiego Juliusza, któremu po długich latach tułactwa wspomnienie Ukrainy wywołało jeszcze ten szczytny na usta wykrzyknik:

„Boże! kto ciebie nie czuł w Ukrainy
Błękitnych polach, gdzie tak smętno duszy,
Kiedy przeleci przez wszystkie równiny
Z hymnem wiatrzanym, gdy skrzydłami ruszy
Proch zakrwawionéj przez Tatarów gliny!
W popiołach złote słońce zawieruszy —
Zamgli, zczerwieni i w niebie zatrzyma
Jak czarną tarczę z krwawemi oczyma.“

Nie mniéj od natury wpłynęła na tę poetycką płodność Ukrainy historya i jak już nadmieniłem w związku z nią będący charakter Ukraińca. Ukraina, niegdyś część Rzeczypospolitéj, dużo jéj napędzała kłopotów, a częstemi rokoszami zamącała spokój wspólnéj matki ojczyzny. Lud zamieszkujący Ukrainę nosi wszystkie cechy znamionujące charakter Słowian, tkliwy, uczuciowy, poetyczny, jest przytém namiętny, burzliwy, a gdy go się podburzy, nie zważający choćby na najświętsze prawo natury.

Ukrainiec kocha Polskę i chętnie pod jéj zostawał opieką; ale uciskany przez starostów i magnatów polskich, nie mogąc znaleść sprawiedliwości na łonie wiecznie kłócącéj się Rzeczypospolitéj, często podnosił na nią rękę i lacką krwią hojnie chrzcił stepy swéj Ukrainy. Bunty te, jako téż i bliższe do nich powody, nie wchodzą w zakres wyznaczony niniejszemu studyum, wspomniałem o nich tylko, aby przypomnieć stósunek Ukrainy do Polski, o ile tenże wpłynął na ukształtowanie charakteru Ukraińca. Częste napady Tatarów posłużyły także Ukrainie do tego rozwoju. „Gdzie zmiany polityczne,“ powiada Jan Majorkiewicz, „pociągały za sobą zmiany stósunków towarzyskich, a przynajmniéj były w związku z temi ostatniemi, tam lud czuł dzieje ogółu, historyą i dumał o niéj, dumał o swojéj doli, jak na Ukrainie, Rusi Południowéj, gdzie dla tego najwięcéj pieśni historycznych się przechowało.“ Dotąd Majorkiewicz. Śliczne te pieśni pozbierali skrzętni zbieracze i podzielili się niemi z całym narodem, w epoce przecież, o któréj mówiliśmy, zupełnéj było potrzeba w umysłach i społeczeństwie reformy, zanim proste te dźwięki mogły znaleść miejsce w literaturze narodowéj. Reformą tą było zwycięstwo romantyków. Ono to ułatwiło Goszczyńskiemu wystąpienie z Zamkiem Kaniowskim pierwszym objawem nowo się zawiązującéj szkoły ukraińskiéj. O utworze tym znajdziemy niżéj, chociaż pobieżnie tylko, sposobność mówienia, a przechodzimy teraz w szczególności do największego szkoły ukraińskiéj piewcy, przedstawiciela i że się tak wyrażę, wodza, Józefa Bogdana Zaleskiego. (Ciąg dalszy nast.)

ROZMAITOŚCI.

Trzechsetletnia rocznica Unii Lubelskiéj.

W sprawie téj zrobił we Lwowie komitet, zajmujący się przygotowaniem uroczystości, która ma się odbyć 12 sierpnia, krok bardzo ważny. Postanowił on na pamiątkę rocznicy usypać na szczycie góry zamkowéj mogiłę czyli kopiec. Z tego powodu wniósł dnia 21 czerwca przewodniczący komitetu, poseł Smolka, podanie do rady miasta Lwowa. Pod koniec podania czytamy:

„Niech się wzniesie pomnik wspaniały łącznością we wspólnéj, wzniosłéj i patryotycznéj myśli i miłości usypany, który duchem założycieli, intencyą pracowników i sympatyą pokoleń narodu, formą i materyałem przetrwa wszystkie burze społeczne i burze żywiołów, przetrwa wieki, przetrwa tylowiekowe piramidy egipskie, które jako dzieło despotyzmu Faraonów wzniesione potem, krwią i łzami kroci niewolników rozsypią się w gruzy. Niech kopiec lwowski pozostanie po wieczne czasy tak w rzeczywistości, jako też w dziejach i tradycyi ludów pomnikiem najwspanialszym, usypanym dobrowolną, nieprzymusową i niepłatną pracą współwyznawców wiary: braterstwa, wolności i równości w obec Boga i prawa. Niech pokolenie całe zajmie się tą pracą i wychowa się, przykładając rękę do wzniosłego pomnika narodowego, w wierze zasad, których tenże będzie widomym symbolem.

I. Upraszam przeto, ażeby prześwietna rada raczyła: przyzwolić na usypanie w intencyi zwyż wykazanéj kopca czyli mogiły na szczycie Wysokiego Zamku w miejscu wskazaném.

II. Polecić urzędowi budowniczemu miasta, ażeby zdjął plan miejscowości, sprawdził daty powyżéj podane i złożył sprawę pod względem wykonalności i co do punktu kosztów.

III. Polecić urzędowi budowniczemu, aby przystępując do téj czynności zawezwał mnie do współudziału, pragnę bowiem na miejscu wytłómaczyć moję myśl pod względem szczegółów, wymagających dokładniejszego, niż tu skreśliłem, wytłómaczenia“.

Podp. **Smolka.**

Teatr Krakowski w Poznaniu.

W zeszły wtorek odegrano na scenie tutejszéj na dochód artysty pana Feliksa Bendy: Domy polskie, czyli Córkę Miecznika, dramat w 5 aktach napisany przez Majeranowskiego z muzyką p. Hoffmana. Dramat ten osnuty jest na znanym poemacie Maryi Malczewskiego. Jakakolwiek może wypaść krytyka na przerobienie tego klasycznego poematu na dramat, przyznać należy, że na scenie robi on wcale nie złe wrażenie. Akcya rozwija się bardzo szybko, charaktery pojedyncze są wybitnie nakreślone. P. Majeranowski odstąpił o tyle od poematu Malczewskiego, że główną sprężyną całéj intrygi nie uczynił dumnego księcia Wojewodę, ale jego koniuszego, p. Wilczka. Wilczek, rozkochany w nadobnéj córce Miecznika, korzysta z niechęci i zacięt ości wojewody i nie wstrzymuje się przed żadną zbrodnią, ażeby przeszkodzić ślubnemu związkowi księcia Wacława z Maryą, a gdy to mu się nie udaje, ażeby wywrzeć swoją zemstę. Charakter jego, szatańskiemi nakreślony rysami, oddał p. Benda znakomicie. Dramat ten zapowiadający w swém zawiązaniu liczne ofiary, kończy się nad wszelkie spodziewanie bardzo szczęśliwie a nawet wesoło, bo i dumny Wojewoda pogodził się z starym Miecznikiem, i młody Seweryn Trzaskowski odzyskał mowę, i Marya nie została utopioną, ale z zamurowanego więzienia uwolnioną i oddaną uszczęśliwionemu Wacławowi, — jedyny Wilczek pada ofiarą, ścięty z rozkazu Wojewody. Gra artystów była bez różnicy doskonałą i zyskała słusznie huczne oklaski przepełnionego teatru.

Na benefis p. Wincentego Rapackiego, który w tych dniach nastąpi, odegranym będzie dramat pod tytułem Człowiek Śmiechu opracowany w 8 obrazach przez samego artystę na tle romansu Wiktora Hugo: L'homme qui rit. W roli tytułowéj występować będzie p. Rapacki, autor dramatu. Nie jestto pierwsza praca literacka utalentowanego artysty. Oprócz powyższéj napisał już p. Rapacki dramat Nędznicy na tle romansu Wiktora Hugo tegoż samego tytułu, i komedyą: Synowie Pana Cześnika osnutą na Gawędach Wojcickiego.

* * *

Napis na pomniku S. Klonowicza (Zob. str. 220)

brzmi na stronie przodkowéj następnie:

SEBASTIANOWI FABIANOWI KLONOWICZOWI
ZIOMKOWIE
STARANIEM
TOW. PRZYJ. NAUK POZNAŃSKIEGO
R. 1862.

Na stronie tylnéj:

UR. W SULMIERZYCACH R. 1551.
UMARŁ W LUBLINIE R. 1608.

Prawą stronę zdobi napis:

VICTORIA DEORUM
ROXOLANIA

lewą:

WOREK JUDASZÓW
FLIS.

Szarada.

Pierwsza i trzecia, gdy pan w uniesieniu
Dociera słudze swém doniosłém słowem;
Druga i trzecia w zbożowém znaczeniu;
Druga wądołem, albo jakim rowem;
Wszystko narzędziem, aż się serce śmieje,
Kiedy głos słodki w około rozleje.

(Rozwiązanie szarady w nr. 26: *Lublin.*)

Wiadomości literackie.

Z początkiem lipca r. b. wychodzić będzie czasopismo illustrowane dla ludu w Krakowie 1 i 16 każdego miesiąca, pod tytułem WŁOŚCIANIN w miejsce dotychczasowych Nowin z Świata. WŁOŚCIANIN zawierać będzie:

Powieści i poezye dla ludu. Rozprawki z historyi polskiéj, popularnie skreślone. Wskazówki dla gospodarzy. Kronikę wydarzeń. Rozprawy treści moralnéj. Rozmowy. Ustępy z nauk przyrodniczych. Wykaz książek ludowych. Wspomnienia narodowe; słowem wszystko, czego lud nasz najbardziéj potrzebuje.— Obok tego w osobnym dodatku dołączać się będzie stósowne inseraty za opłatą 4 centów od wiersza, z dodaniem należytości stemplowéj po 30 centów, za każdorazowe umieszczenie. Prenumerata wynosi: rocznie 3 złr. lub 2 talary. Półrocznie 1 złr. 50 c. lub 1 tal.

Pismo to dla ludu mające wychodzić pod gorliwą redakcyą pana Czesława Pieniążka zasługuje na uwzględnienie ludu naszego, dla tego polecamy je jak najusilniéj nie tylko ludowi naszemu, ale wszystkim tym, których oświata ludu polskiego bliżéj obchodzi.

PUSZKA DO LISTOW.

Panu Now. w Mikst. Dziękujemy za nadesłane. Zamieścimy w najbliższych numerach. — Panu A. J. w Komor. pod Brodn. Wcale dobre. — Panu T. Fal. w Bruks.: Oczekujemy z niecierpliwością.

Redaktor odpowiedzialny: Dr. Roman Szymański w Poznaniu, Lipowa ulica nr. 2. — Nakładem Księgarni M. Leitgebra w Poznaniu. Czcionkami L. Merzbacha w Poznaniu.